

Kolonializm made in England – 10

18 kwietnia 2018

Pewien osadnik mieszkający samotnie zażądał od żyjącej w pobliżu grupy plemiennej dostarczenia kobiety, aby mu uprała ubranie. Za usługę obiecał dać jej starą koszulę, a jej mężowi prymkę tytoniu. Aborygen przyprowadził żonę i usiadł na skraju podwórza.

Gdy kobieta wieszała pranie na płocie, osadnik zaczął się do niej dobierać, a następnie zaciągnął ją do chaty i próbował zgwałcić. Widząc to, mąż wtargnął do chaty i zaczął bronić żony. Osadnik wyciągnął nóż i skaleczył Aborygena, ale obojgu udało się go obezwładnić i zabić. Zabrali parę rzeczy z chaty i uciekli do swoich.

Kilka dni później wrócił kowboj wysłany do miasteczka po zaopatrzenie i wszczął alarm, zawiadamiając okolicznych farmerów. Zorganizowano grupę kilkunastu mężczyzn, którzy zaczęli przeczesywać okolicę w poszukiwaniu morderców, doszczętnie eksterminując kilka grup mieszkających w pobliżu. Nie było żadnego śledztwa, poszukiwania przedmiotów skradzionych z chaty, nie było żadnych przesłuchań. Po prostu w nocy napadano na obozowiska, nie pozostawiając nikogo żywego. Scenariusz był zawsze ten sam – sterroryzowana grupa, gwałty, a w końcu bezlitosna eksterminacja wszystkich obecnych. Zanim w końcu złapano sprawcę, który się w ogóle nie ukrywał, chociaż jego grupa przemieściła się w inne miejsce w międzyczasie, zginęło od 50 do 150 niewinnych osób (dokładna liczba nie jest znana), w tym starcy, kobiety i dzieci. Zabójca farmera został skazany na 10 lat, które odsiedział w więzieniu tysiąc kilometrów dalej.

W odróżnieniu od amerykańskich Indian, których plemiona były ciągle na ścieżce wojennej, wśród Aborygenów albo w ogóle nie

było konfliktów, albo były rozwiązywane na drodze pokojowej. Najważniejszym prawem Aborygenów był absolutny zakaz naruszania terytorium innego plemienia i zakaz ten nigdy nie był łamany. Nie było zresztą powodu, bo Australia ma powierzchnię równą Europie bez Rosji, a jej niewielka populacja pozwalała na to, żeby każdy miał wystarczająco miejsca do życia. Chociaż każdy z uczonych ma swoją własną teorię, ilu Aborygenów żyło w Australii przed przybyciem białych w końcu XVIII wieku – szacunki wahają się od 300 tys. do miliona i polegają wyłącznie na statystycznej zgadywance – ilu by ich nie było, żadne plemię nie przeszkadzało drugiemu, bo posiadało o wiele więcej terenu niż było potrzeba, aby zaspokoić codzienne skromne potrzeby.

Nie było również innych powodów. Późniejsze cywilizacje azjatyckie, amerykańskie i europejskie poszły w innym kierunku i dla nich poszerzanie swojego terytorium było głównie uzasadnione zwiększaniem się populacji, ale także dążeniami przywódców, aby mieć więcej niewolników do pracy na polach uprawnych, przy wydobywaniu i przerobie kruszców, aby mieć większą armię itd. Żyjący w izolacji Aborygen tego nie potrzebował, a także, jak się zdaje, miał „zaszczepioną w genach” nieagresję.

Amerykańscy Indianie byli uzależnieni od stad zwierząt, głównie bizonów, jeleni i reniferów. Są to zwierzęta stadne prowadzące życie koczownicze, zaś ich wędrówki sięgają paru tysięcy kilometrów, więc plemiona indiańskie zaopatrując się w mięso, w pogoni za nimi często naruszali granicę terytoriów swoich sąsiadów, co oczywiście wywoływało konflikty. W Australii nie ma większych zwierząt niż kangury i emu, które również żyją w stadach i również koczują, ale zasięg ich wędrówek nie jest wielki, ponieważ nie potrzebują tak wiele jedzenia jak potężne zwierzęta amerykańskie. Nawet jeśli jakieś stado kangurów przekroczyło granicę plemiennego terytorium, miejscowi Aborygeni nie musieli go ścigać, bo nadal mieli pod dostatkiem jedzenia. Poza tym, ze względu na

klimat, Aborygeni nie robili zapasów. Zwierzyna była dostępna przez cały rok i polowało się raz na parę dni, również dlatego, że podstawą diety Aborygenów było pożywienie roślinne, a nie zwierzęce.

Poszczególne plemiona spotykały się rzadko, na ogół raz lub dwa razy w roku z okazji odprawiania wspólnych ceremonii w którymś z miejsc sakralnych. Często takie spotkania łączyły się ze zbiorami roślin lub owoców specjalnych gatunków, które występowały raz w roku lub raz na parę lat na terytorium jednego z plemion, na które zapraszane były sąsiednie plemiona. Na przykład w paśmie gór Bunya w Queenslandzie rodzi się mnóstwo owoców drzewa o tej samej nazwie – są one jednym z przysmaków Aborygenów. Z podobnej okazji plemiona spotykały się co roku na zboczach Góry Kościuszki, gdzie lęgły się olbrzymie, tłuste larwy, które piekło się na rozgrzanych w ognisku kamieniach. Takie spotkania zawsze łączyły się ze wspólnymi ucztami, kojarzono pary małżeńskie, opowiadano sobie nowiny oraz odbywały się inicjacje dziewcząt i chłopców. Oczywiście w takich przypadkach przybycie innego plemienia nie było traktowane jako naruszenie terytorium i nie wywoływało żadnych zadrażeń.

Dlaczego o tym piszę w tym miejscu? Dlatego, że chłopcy od najmłodszych lat uczyli się polowania i znajdowania innego pożywienia, czyli tego, co im było potrzebne do codziennego życia, ale nikt ich nigdy nie uczył zabijania ludzi. Aborygeni nie umieli się bić i nigdy tego nie robili pomiędzy sobą, dlatego, gdy stanęli w obliczu uzbrojonych i przesiąkniętych nienawiścią białych Anglików, nie bardzo wiedzieli co mają robić. Od tysiącleci i tysiące pokoleń nie wiedzieli, co to jest agresja. Dożywali sędziwego wieku i umierali „na starość”, gdy przyszedł ich czas. Po prostu umiejętność walki z innym człowiekiem nie była konieczna i nawet jeśli kiedyś istniała, została wymazana z mentalności Aborygenów tysiące lat przed przybyciem białych.

Sytuacja drastycznie się zmieniła, bo plemiona żyjące na

wschodnim wybrzeżu już w końcu XVIII wieku zetknęły się z agresją białych, którzy absolutnie nie mogli zrozumieć ich pokojowej natury. Aborygeni podchodzili z ciekawości, żeby bliżej przyjrzeć się tym istotom człekokształtnym obleczonym w jakieś dziwne „skóry”, ofiarowując ryby, żółwie i inne miejscowe przysmaki. Lecz dla białych pierwszym krokiem do zawarcia znajomości był strzał z karabinu, który powalał i zabijał nawet najsilniejszych w plemieniu bez potrzeby osobistego kontaktu. Po tych pierwszych spotkaniach, gdy Aborygeni na ogół ratowali się ucieczką, zaczęło dochodzić do coraz poważniejszych konfrontacji.

Białych z roku na rok przybywało. Najpierw przywieziono zesłańców, ale oni początkowo nie byli dla Aborygenów groźni, bo ciągle byli pod strażą, ale już wkrótce zaczęły napływać wielkie rzesze osadników, przede wszystkim z Anglii, Walii, Szkocji i Irlandii, a następnie ze wszystkich krajów europejskich, głównie z Niemiec, Holandii, Danii i Polski. W połowie XIX w. ustały dostawy nowych zesłańców, za to zaczęły się terminowe i przedterminowe zwolnienia aż do likwidacji obozów karnych. Kto przybył pierwszy, ten zajmował tereny nadmorskie, wypierając żyjące tam od niezliczonych tysiącleci plemiona. Kto był drugi, musiał posuwać się coraz dalej w głąb lądu. W ten sposób plemiona nadbrzeżne zostały zmuszone do pogwałcenia granic terytoriów leżących bardziej na zachód, należących do ich sąsiadów, co nie zawsze spotykało się ze zrozumieniem. Ich obecność, polowania i pozyskiwanie pożywienia było często traktowane jako kradzież i bezprawie, co niejednokrotnie doprowadzało do walk międzyplemiennych, czyli zjawiska dotąd nieznanego.

Aborygeni z wybrzeża zostali wzięci w dwa ognie. Od wschodu napierało białe osadnictwo wspierane zbrojną ochroną wojska, policji i grup ochotników zawsze gotowych, żeby sobie postrzelać do ruchomego celu; od zachodu były zaś nie zawsze przyjazne plemiona sąsiadów, broniące swojego odwiecznego terytorium zgodnie z odwiecznym prawem. Taka sytuacja

doprowadziła w końcu do całkowitego wyćpienia tych plemion, którym nie udało się przedrzeć na daleką północ i którzy nie zostali tam zaakceptowani. Niektóre z nich, pomimo ciągłego niebezpieczeństwa pozostały na miejscu, nie wyobrażając sobie, że mogą opuścić ziemię, której byli właścicielami od niepamiętnych czasów. Niektórzy farmerzy i hodowcy bydła pozwalali grupom plemiennym na koczowanie na zagarniętych terenach, ale to też nie zdało egzaminu, bo Aborygeni nie rozumieli nowych praw i nie respektowali granic posiadłości, przemieszczając się na sąsiednią farmę, gdzie witani byli salwą z karabinów, bo właściciel miał twardsze serce od swojego sąsiada. Coraz większe stada bydła wypierały kangury i inną lokalną zwierzynę, więc głód zmuszał Aborygenów do zabijania pojedynczych sztuk bydła.

Trzeba tu dodać, że Aborygen w tamtych czasach uważał zwierzę wyłącznie za źródło pożywienia i chociaż nigdy nie zabijał bez potrzeby, w przypadku głodu nie wahał się przed upieczeniem owcy lub krowy, choć niewątpliwie nie uważał takiego mięsa za przysmak. Aborygen uważał, że wszystkie zwierzęta, nawet te dziwne, które nagle pojawiły się na jego terenie, są częścią natury. Jego natury, bo przecież pasły się na jego odwiecznym terenie. Aborygen nie znał, nie rozumiał i nie akceptował nowego prawa własności i nie zgadzał się, że teraz ktoś inny jest właścicielem terenu. Tego rodzaju rozumowanie powodowało, że te dziwne zwierzęta uważał za swoją własność i pozwalał się im spokojnie paść do momentu, gdy poczuł głód. O ile barana można było zanieść gdzieś dalej, o tyle byczek był zbyt ciężki. Rozpalano ogień, ćwiartowano zwłoki i pieczono na miejscu, na pastwisku farmera.

Ucztująca grupa Aborygenów była gościnna. Gdy przyjechał farmer w towarzystwie parobków zawsze byli zapraszani do wspólnego „stołu”, ale jedyną reakcją były strzały ze strzelb i rewolwerów, a następnie gwałcenie kobiet i dziewcząt. W Australii do dzisiaj bydło jest bardziej święte niż święte krowy w Indiach, dlatego za tak niewybaczalne przestępstwo,

jakim było zjedzenie krowy, groził natychmiastowy lincz na wszystkich członkach grupy.

Cały XIX wiek to rodzenie się kolonii i rabunkowa gospodarka zajętych terenów. O ile prawidłowe rolnictwo wzbogaca i użyźnia glebę, o tyle hodowla ją zubaża i wyjaławia. W ciągu kilkunastu lat poza niezbyt szerokim pasem pomiędzy wybrzeżem a Górami Wododziałowymi, setki tysięcy sztuk bydła zamieniły tereny od tych gór na zachód w step, a następnie w półpustynię. Hodowcy poszerzali więc swoje terytoria coraz bardziej na zachód, czyli tam, gdzie była jeszcze terra nulla (ziemia niczyja). Ziemia oczywiście należała od tysiącleci do jakiegoś plemienia, ale tym się biały osadnik nie przejmował nawet, gdy o tym wiedział.

Po prostu przeganiał swoje stada poza granice posiadłości, wbijał tu i ówdzie palik, po czym z pomocą kogoś piśmiennego pisał list do departamentu ziemskiego, że zagarnął następne kilkanaście tysięcy hektarów i prosi o ich dzierżawę. Jeżeli ten obszar nie należał już do jakiegoś białego, departament udzielał mu dzierżawy na 99 lat, traktując zagrabioną ziemię jako „crown land”, czyli ziemię należącą do królowej Wiktorii. Nawet jednak przed uzyskaniem dzierżawy czarno na białym, osadnik uważał tę ziemię za swoją i miał prawo przeganiać wszelkich intruzów w taki sposób, jaki uważał za stosowny. Intruzem był oczywiście Aborygen, zaś sposób przeganiania zależał od humoru osadnika. A ten humor był na ogół zły i kończył się dla Aborygenów w opisany powyżej sposób.

Niektórzy posuwali się do takich okropności, jak wieszanie zwłok własnoręcznie zamordowanych Aborygenów na drzewach rosnących na granicy posiadłości jako ostrzeżenie, ale był to niezbyt praktyczny sposób, bo wrony, jastrzębie i kukubary zjadały ciało, a goły szkielet rozsypywał się i spadał na ziemię. Osadnicy wpadli więc na pomysł, żeby gotować głowy zamordowanych przez kilka godzin, a następnie wieszali je na palikach w okolicach granic farmy lub pastwiska.

Wrażliwemu czytelnikowi zapewne robi się niedobrze, gdy czyta takie rzeczy – jakimi barbarzyńcami musieli być ci, którzy to robili własnymi rękami? Mimo to takie metody były powszechne i nikogo wówczas nie raziły, a nawet gratulowano wspaniałego, nowatorskiego pomysłu i klepano po plecach pomysłowego mordercę.

CIĄG DALSZY NASTĄPI

Autorstwo: Piotr Listkiewicz

Źródło: pl.SputnikNews.com